

Drapieżcy

Drapieżcy

Rozdział II CZERWIEC

Przede wszystkim należało zadbać o brzuchy - swoje oraz piskląt. Kilkunastogodzinna przerwa w dostarczaniu pokarmu pobudziła młode do agresywniejszych nawoływań. A i dorosłym bielikom żołądki dawały o sobie znać. Gdy więc tylko pogoda na to pozwoliła, rozpoczęło się poszukiwanie żeru. Tego dnia jedzenia nie powinno zabraknąć. O łatwo dostępnym łupie informowały stada mew i wron nad brzegiem zatoki. Silnie wzburzone nocą jezioro - prócz badyli, gałązek, liści oraz szczątków gniazd - naniosło wiele interesujących kąsków.

Pierwsza przekonała się o tym samica. Długie gniazdowanie i opieka nad małymi dotąd trzymały ją na wyspie. Nawet dorywczych kąpiei piaskowych zażywała u jej podnóża. Teraz czterotygodniowe młode mogły pozostać na jakiś czas same. Tym bardziej pod okiem siedzącego nieopodal ojca. Speszony nieobecnością rodziców pisklęta początkowo przywarły do siebie w zagłębieniu gniazda, cicho i trwożliwie nawołując. Lecz zaraz uspokoiła je odpowiedź bielika. Nie zamierzał opuszczać swojej strażnicy. Małe powinny oswajać się z nową sytuacją. Będą zostawały bez matki coraz częściej. Samica wróciła dość szybko. I to niosąc w obu szponach po jednym wyrosniętym pisklęciu łysek. Padły minionej nocy i wystarczyło je podjąć. Zluzowany samiec bez wahania skierował się ku zatoce. Pierzchnęły przerażone kaczki i perkozy. Jednakże obecnie wyjątkowo nic im nie zagrażało. Birkut przyleciał skuszony dostępniejszym pokarmem. Lądowaniu towarzyszyły wrzaski oburzonych wron. Ustąpiły miejsca niechętnie i z ociąganiem. Również protest hałaśliwych mew był jednoznaczny. Nie dość, że musiały walczyć między sobą, to jeszcze przyszło im bezskutecznie odpierać nalot drugiego już bielika. Nie wspominając o kręcących się w pobliżu lisach, którym także zapachniał smakowity łup. Konkurencja rosła i tylko najszybsze oraz najsilniejsze dzioby miały szansę uszczknąć coś dla siebie.

Skrzydłata hałastrą nie wzruszyła birkuta. Rozrywał resztki tego, co zostało z martwej cyranki. Rzeczywiście resztki. Kręgosłup z nadłamanym mostkiem, fragment żuchwy i jedna kość udowa w stercie okrwawionych piór. Pozostałość rozwlokły inne ptaki. Sprawa niewarta dłuższego zainteresowania. Rozejrzał się. W wodzie przy brzegu zażarty bój toczyły mewy. Jeszcze przed momentem nic tam się nie działo. A zatem musiały coś nowego wypatrzyć. Ruszył w ich stronę pieszo, spokojnie, świadom swej siły. Kolebiąc się na boki, niczym kaczka. Chmara mew z przenikliwym piskiem wbiła się w powietrze. Pojmował ich rozżalenie. Lada chwila przecież utracą zdobycz na jego korzyść. Brodząc płycizną dojrzał wreszcie przyczynę zmieszania. Był nim imponujący leszcz. Kolejna ofiara niedawnej burzy. Mewy zdążyły wydziobać rybę oczy. Szponami jednej nogi pochwycił leszcza za głowę i powoli wywlókł na brzeg. Ledwo ryba znalazła się poza wodą, zwarte szyki mew wsparły wrony. Pierwsze nękały bielika od góry, drugie podchodem. Sprytniejsze i bardziej bezczelne sztuki próbowały nawet dziobnąć leszcza zniemacka. Ale wystarczyło, że birkut ostrzegawczo potrząsnął rozłożonymi skrzydłami, by także co odważniejsi usunęli się na rozsądną odległość. Wkrótce miał dosyć. Częściowo najedzony, a częściowo zniechęcony natarczywością konkurentów; dźwignął pozostałą część ryby i odleciał ku wyspie. Złożoną na brzegu gniazda zdobycz samica rozparcelowała między młode. Uzupełniając posiłek nasycił je do tego stopnia, że odwracały dzioby. Resztą mogła pożywić się sama. Maluchy trawiły najszybciej. Od czasu do czasu któryś z nich wdrapywał się na krawędź gniazda, obracał dziobek ku środkowi i pryskał odchodami poza brzeg. Również wypluwki lądowały na zewnątrz. Bowiem nie

wszystko dało się strawić. Samica karmiła teraz pisklęta większymi kawałkami. A trafiające się pośród nich ułamki kości, pióra, łuski lub sierść były systematycznie zwracane. Słońce coraz wyżej wędrowało nad horyzont. Dorosłe bieliki zdążyły już się osuszyć i wypocząć. Obecnie mogły zająć się gniazdem. Naprawą tego, co uszkodziła burza. Samiec wzbił się do góry i wykonawszy nad wyspą kilka obszernych kręgów poleciał w stronę południowo-wschodniego lasu. Przyciągnęły uwagę wiatrołomy. Tam właśnie wicher hulał najsilniej. Z daleka jaśniały kikuty połamanych świerków i sosen. Przysiadł na leżącej sośnie i rozejrzał się. Odnalezienie drobniejszych gałązek nie stanowiło problemu. Ale szukał grubszych. Wreszcie taką wypatrył - dyndającą na pasku kory u pnia. Zaparł się mocno i urwał ją energicznymi szarpnięciami dzioba. Obdartą wyciągnął na pień, pod palce. Tę poniesie w szponach. Dziobem pochwycił dwie mniejsze gałązki i w ten sposób obładowany wrócił do gniazda. Utykaniem znoszonego materiału zajmowała się samica. On zaś niestrudzenie krążył między wyspą a wiatrołomami. Piątą rundę nagle zakłócił puchacz. Bielik dostrzegł nocnego łowcę dzwigającego nad las świerkową gałązkę. Jeden z głównych wrogów! Przed laty, gdy jeszcze gniazdowali z samicą na obrzeżu jeziora, trzykroć odpierał mocne ataki owego drapieźcy. Teraz zawrzała w nim krew. Wzniósł się nieco, rozpedził i z dużą siłą uderzył na puchacza z góry. Niestety, szarże osłabiły częściowo chroniące sowę konary dębu. Puchacz spał tam, zwykle niewidoczny. Jednak burza minionej nocy odsłoniła kryjówkę, przewracając pobliski świerk. Zaatakowany, straciwszy pierwotnie równowagę, odskoczył w bok, a po chwili czmychnął głębiej między drzewa. Tylko szybkości reakcji oraz gęstwinie zawdzięczał życie. Pościg uniemożliwił bielikowi zbyt wielki rozstaw skrzydeł. Birkut, wściekle pokrakując, długo jeszcze krążył nad wierzchołkami okolicznych drzew. W końcu uspokoił się na tyle, by wrócić do przerwanych zajęć. Z nową gałęzią w szponach poszybował ku wyspie. Gasnące podniecenie partnera nie zdziwiło samicy. Nadjeziorna przestrzeń niosła głos znakomicie i z daleka rozpoznała sytuację dzięki szczególnemu tonowi nawoływań birkuta. Owszem, informował o drapieźniku, lecz nie o bezpośrednim zagrożeniu gniazda czy jego samego. Mogła zatem pozostać przy gnieździe. Zwłaszcza, iż pracy jej nie ubywało. Przez pisklęta, które naprawę gniazda uznały za świetny pretekst do zabawy. Co matka wsunęła gałąź w rozleglejszą szczelinę, one ją wyciągały. Zaś wyciągniętą tarnosiły między sobą.

Część gałązek przez to wypadła na zewnątrz lub uwięzła między gniazdem a podtrzymującymi je konarami. Wreszcie samica straciła cierpliwość, rozdzielając szturchnięciami dziobem. I ta reprimenda poskutkowała. Mimo wszystko gałęzi było już dość. Należało rozejrzeć się za materiałem do świeżej wyściółki. Lecz bielik, dotąd ochoczo uczestniczący w remoncie gniazda, po przejściach z puchaczem zapał raptem utracił. Dopiero ponaglące wołanie samicy zmusiło go do kolejnego startu. Tym razem wyleciał w przeciwną stronę, nad torfowiska. Tam niejednokrotnie zbierał zeschnięte badyle. Jednak z góry dostrzegł coś ciekawszego. Rozrzucone siano na kawałku wykoszonej łąki od północy. Poszybował przeto trochę dalej, obniżał wysokość i szeroko rozstawiwszy szpony zagarnął nimi tyle siana, ile się dało w nieprzerwanym locie.

* * *

Młode, w oczekiwaniu na pokarm, przy pomocy skrzydeł wdrapywały się wyżej, próbując podskoków. Marzył im się lot. Jednak czas jeszcze nie nadszedł. Dopiero pierwsze pióra wyrastały nad puchową pokrywę, a i słabość wykształconych mięśni nie dawała się przewyciężyć. Powrót matki wzniecił wrzawę. Energiczne przepychanki dla obu skończyły się upadkiem na dno gniazda. Kolejny raz. Podobnie było, gdy ojciec przyniósł w dziobie kacze jajko. Widok pokarmu podniecał pisklęta do tego stopnia, że utarczki o lepszą pozycję przybierały formy wciąż ostrzejsze. Wojowniczy temperament maluchów górował, póki nie zaspokoili głodu. Wtedy, choć starcia nadal trwały, przynajmniej jeden drugiego nie deptał. Matka przyniosła okonia. Rozebranie ryby poszło szybko. Jak zwykle młodym przypadły najlepsze części. Sama zadowolona się łbem i wnętrznościami. Ze zdobyczy nie zostało nic. Tymczasem birkut poszybował za północny las, nad torfowiska. Patrolując rewir wyszedł zajęzycę z młodymi. Liczył na atak z zaskoczenia. Ale zniżając lot sam został wypatrzony. Czujna zajęzycza

zdążyła ostrzec swoją gromadkę. Wszystkie przycupnęły nieruchomo. Wysoka o tej porze trawa maskowała znakomicie. Bielik, straciwszy z oczu szaraki, chwilę kołował nisko, potem usiadł na gałęzi leżącego jesionu. Zapowiadał się ciepły dzień. Słońce wyszło już nad wierzchołki drzew, rozświetlając umykające na zachód resztki chmur. Szata torfowiska z tego miejsca trochę przypominała zimową. Dookoła, gdzie nie spojrzeć, widniały białe pióropusze przekwitłej wełnianki. Cierpliwie czekał, obserwując zapamiętany obszar z ukrytymi zającami. Od domniemanej kryjówki dzieliło go może pięćdziesiąt metrów. I niebawem dostrzegł jakiś ruch. Drgnęła kępa situ. Dojrzał albo mu się wydawało. W każdym razie wystartował. Jakież było zdumienie birkuta, gdy zajęczyca, miast uciekać, odparła napaść. Tego dotąd nie zaznał. Zwykle ofiary przed nim czmychały. Nieco zdezorientowany nabrał wysokości i wykonawszy pętlę jeszcze raz próbował z góry pochwycić zająca. Ale sytuacja powtórzyła się. Gdy tylko zniżył lot, szarak skoczył ponad metr w górę, uderzając go w pierś górnymi nogami. Cios był na tyle dotkliwy, że z trzeciej próby ostatecznie zrezygnował. Powoli wzniósł się nad las, w stronę jeziora. Minął błotnisty rejon niegdysiejszego stawu i już zamierzał zejść niżej, gdy dostrzegł rybołowa. Leciał kursem niemal przecinającym wyspę. I choć nic nie wskazywało na to, by miał zagrozić młodemu w gnieździe, birkut poczuł się sprowokowany. Niewiele potrzebował do ożywienia agresji. Nadal przecież pulsowało w nim wspomnienie przykrego starcia z zajęczycą. Szybko poszedł w górę, a potem znacznie prędzej w dół. W ostatniej chwili lekko podwinął jedno ze skrzydeł, przekręcił się na grzbiet i wyciągniętymi szponami niebezpiecznie otarł ściganego. Natarcie od strony słońca całkowicie zaskoczyło rybołowa. Prerażony wypuścił dopiero co upolowaną płoć. Bielik, zaprzestawszy dalszej gonitwy, podjął z wody przypadkową zdobycz. Została zjedzona w powietrzu, nim dotarł do wyspy. Przysiadł na ulubionej gałęzi niedaleko gniazda. Krótki odpoczynek przerwało nawoływanie samicy. Szybowała wysoko, kołując nad jeziorem. Nie miał wątpliwości, że wzywa go na wspólny łów. Dawno już razem nie polowali. Tym chętniej rozwinął skrzydła. Wkrótce pojał, czym podnieciła się partnerka. U wylotu zatoki żerowało stado łysek. Chwilowo spokojne, nie przeczuwające zagrożenia. Być może uda się wyodrębnić pojedynczą sztukę, jeśli szturm przeprowadzony zostanie odpowiednio szybko. Pierwszeństwo ataku odstąpił samicy, pozostając nieco z tyłu i w górze. Gdy samica zeszła nad wodę, on ciągnął równoległe do niej. I wszystko szło zgodnie z przewidywaniem. Rozproszone dotąd łyски ciasno zbiły się w zwartą grupę, która - niczym jeden wielonogi i wieloskrzydły stwór - pędziła biegiem po wodzie. Towarzyszący zbiorowej ucieczce rwetes dezorientował bieliki. To zbliżając się, to oddalając, próbowały rozbić skrzydlaty monolit, lecz każda potencjalna ofiara aż nadto dobrze wiedziała, czym grozi oderwanie od stada. Wreszcie pościg ustał, gdy osiągnął zbawienną linię oczeretów i trzcina. Rozczarowane drapieżniki wzbily się wyżej. Skoro nie wyszło z łyskami, należało poszukać czegoś innego. Choć nie w wodach zatoki. Tu bowiem zbyt wiele oczu je śledziło. Nową okazję wypatrzył samiec. Kilkaset metrów dalej samotnie żerowały dwa ptaki - tracz i dwuczuby. Samica ruszyła za partnerem. Oboje zeszli nad wierzchołki przybrzeżnych drzew, zamierzając pognać ofiary ku otwartej wodzie. I manewr częściowo się powiódł. Co prawda zgubili tracza, ale nie wniknął w roślinność oskrzydłony perkoz. Bieliki znów podzieliły się rolami. Samica leciała tuż nad powierzchnią wody, a samiec górą - zataczając półokręgi oraz pilnie bacząc na to, co dzieje się niżej. Uciekinier nieustannie nurkował. Ale od czasu do czasu musiał się wynurzyć dla zaczerpnięcia oddechu. Te właśnie momenty były dla niego najgroźniejsze. Bowiem prześladowcy tylko na to czekali. Zwłaszcza bielik, z wysokości dobrze widzący wynurzanie się ofiary. Śledzeniu perkoza sprzyjała przejrzystość toni, jak i spokojna jej powierzchnia. Gdy więc uciekinier zaczerpnął oddechu, zaraz nad jego głową pojawiały się wyciągnięte szpony. Perkoz słabł. Nie pomagały zwody, ani mylące zygzaki głęboko w toni. Dziewiąte zanurzenie okazało się ostatnim. Atakujący chwycił umęczoną ofiarę mocno, natychmiast wyrwijając ją w powietrze. Widok rodzica ze zdobyczą wprowadził młode w ekstazę. Rozgorzała bójka. Starszy maluch zepchnął młodszego i nieco słabszego na dno gniazda, ale ten nie pozostał mu dłużny. Bijąc skrzydłami wdarł się wyżej i napierał, póki tamten, utraciwszy równowagę, nie runął w ślad za nim. Teraz oba jednocześnie próbowały stanąć na nogi, nie przerywając szamotaniny. Bielikowi zabrakło cierpliwości. Zamierzał rozdzielić pokarm, ale w końcu zostawił to samicy i przeniósł się opodal gniazda. Długi pościg za perkozem nieco go utrudził. I zaostrzył apetyt. Wzmocnemu głodowi

trudno się było przeciwstawić. Od rana nic nie jadł, poza przypadkowo zdobytą płocią. Lepiej wiodło się samicy, która zawsze coś tam uszczknęła przy rozdziale pokarmu między pisklęta. Jak choćby teraz. Birkut, odpocząwszy trochę, rozwinął skrzydła do lotu. Niebawem wyniósł go ku górze wznoszący prąd. Nie potrzebował wzbijać się wyżej. Już to, co zobaczył, wystarczyło. Szybko skręcił na północny wschód, ostrożnie schodząc w dół. Obiekt zainteresowania stał na skraju pasma rzadkich trzciny. Była nim czapla, cierpliwie pozyskująca narybek. Nie dostrzegła nadciągającego od tyłu drapieżnika. I właśnie odlatywała w poszukiwaniu nowych miejsc żeru, gdy nagle od trzciny nastąpiło uderzenie. Impet natarcia zgiął czaplę w dół. Upadła na wodę, przyduszona z góry przez bielika. Nawet nie zdążyła się bronić. Drapieżca celowo przytrzymał ofiarę pod powierzchnią wody. Po chwili wydźwignął nad przybrzeżną płyciznę, gdzie zdecydowanym uderzeniem dzioba ostatecznie uśmiercił. Łup był spory i wyglądało na to, że tym razem zaspokoi głód. Nawet jeśli młode wezmą w rozdziale udział. Pochwycił zdobycz i mimo jej ciężaru z łatwością wzbił się nad trzciny. A przelatując ku wyspie dostrzegł na wschodnim krańcu jeziora coś, co go mocno zaniepokoiło. Człowieka w łódce.

Cały ranek po pierwszym polowaniu zszedł bielikom na porządkach w gnieździe. Samica, ku uciesze piskląt, usuwała starą wyściółkę. Wyrzucanie czegokolwiek stanowiło dla młodych jedną z przyjemniejszych zabaw. Toteż uczestniczyły w tym gorliwie i na swój sposób: więcej szkodząc, niżli pomagając. Usuwały bowiem z gniazda nawet świeże gałązki. Dla młodocianych bielików było coś fascynującego w odgłosach spadających gałęzi. Także resztek zdobyczy, kości, patyczków - wszystkiego, co tylko wyrzucić się dawało. Wychylały głowy poza krawędź gniazda, długo i uważnie nasłuchując szmerów towarzyszących upadkowi wyrzuconej rzeczy. Gdy cichło, wyglądały na rozczarowane. Jednak ostatnio znacznie bardziej urzekało je latanie. A ściślej: pierwsze próby lotu. Już nie wystarczały skoki na stepach, nie zadawała rozwijanie skrzydeł dla samego ich rozpościerania. Teraz każde z wyrosniętych piskląt usiłowało wzbić się nad poziom gniazda. Przyciężkami skrzydłami młóciły powietrze coraz mocniej. Wytrwałość w końcu zaczęła przynosić rezultaty. Zwłaszcza silniejszy samczyk nieźle sobie radził. Podczas jednej z kolejnych prób udało mu się wzlecieć prawie metr w górę. A krótko potem jeszcze raz, choć już nie tak wysoko.

Zmiana wyściółki, mimo udziału młodych, poszła sprawnie. Samica odpoczywała na pobliskim konarze. Przysiadł też obok samiec, poprawiając pióra. Obecność obojga rodziców podnieciła pisklęta. Zarzuciwszy targanie gałązek, natarczywie wołały grubymi głosami, domagając się jedzenia. Brak reakcji dziwił młode i pobudzał do jeszcze intensywniejszych nawoływań. Matka, owszem, wystartowała. By po krótkim kołowaniu na powrót przysiąść w tym samym miejscu. Ojciec jakby w ogóle nie dostrzegał hałaśliwej dwójki. Pisklęta, nawykłe do natychmiastowego spełniania ich życzeń, wydawały się coraz mocniej strapione. Cierpliwość najpierw stracił malec nieco większy. Rozwijając skrzydła bezceremonialnie zepchnął brata na dno niecki. Furczało powietrze od energicznego trzepotu. Pragnął wzlecieć i przysiąść obok rodziców. Tym bardziej ośmielony zachęcającym wołaniem matki. Mniejszy nie pozostawał dłużny. Krzycząc z oburzenia wspiął się na brzeg gniazda. Zamaszyste ruchy jego skrzydeł zachwiały drugim, który upadł do środka. A nim pozbierał się, runął na niego i braciszek. Po chwili bezładnej szamotaniny w ciasnym zagłębieniu z powrotem stanęli naprzeciw siebie, mocno pracując skrzydłami. Wzlot udał się jedynie silniejszemu. Będąc już ponad dwa metry w górze, osiągnął cel. Szpony odruchowo zacisnęły się na chybotliwej gałęzi. Oto, niespodziewanie dla samego siebie, po raz pierwszy w życiu wylądował za gniazdem! Jego tryumfalne wołanie tylko rozdrażniło pozostałego w dole, który nadal bezskutecznie próbował powtórzyć wyczyn brata. Tymczasem matka, jakby uznając obserwowane wydarzenie za oczywiste, odleciała. Również ojciec wystartował. Zniknięcie rodziców zdetonowało młodego bielika. Triumfalną nutę w głosie zastąpiła żałosna skarga. Osamotniony na gałęzi wiercił się i przestępował z nogi na nogę. Chętnie byłby wrócił na dół, gdyby nie odległość. Wydawała się za trudna do pokonania. Jednak wkrótce zleciał. A właściwie bardziej spadł, niżli zleciał. Samica przyniosła do

gniazda szczupaka i pobudzony widokiem zdobyczy zeskoczył niemal na oślep, tylko częściowo rozchylając skrzydła. W utarczce o pokarm zdecydowaną przewagę miał drugi samczyk.. Pierwszy, odtrącony na dno niecki, ledwie uszczknął jakiś kęs. Bowiem resztką niewielkiej ryby, ku rozczarowaniu obojga, w ferworze walki wypadła na zewnątrz.

Birkut przyglądał się rozhasanej dwójce z wysokości kilkudziesięciu metrów, wolno szybując nad wyspą. Niezaspokojone apetyty pierzających się głodomorów wciąż zmuszały do wzmożonego wysiłku. Na zmianę z samicą znosili do gniazda góry pokarmu. Zwłaszcza on odczuwał ciężar zaopatrzenia. Lecz wszystko wskazywało na to, że wkrótce młode usamodzielnia się. A wówczas trochę odetchnie. Prądy wstępujące dźwigały go wciąż wyżej. Nie przeciwstawiał się im, chcąc dokładnie przejrzeć z góry swój rewir. Nic nie zakłócało zwykłej krzątania na jeziorze. Wzdłuż sitowia żerowały krzyżówki, nieco dalej perkozy i tracze. W prześwitach drzew lasu widział ucieczkę krogulca nękanego przez stadko ostrzegawczo krzyczących pliszek. Ich świergot, podbity nawoływaniem kukulki oraz niosącym się od łąk skrzypieniem derkaczy, niósł daleko. A jednak dawał się wyczuć w powietrzu jakiś niepokój. Pierwotnie ledwo uchwytny, sygnalizowany powolnym spadkiem ciśnienia. Niewątpliwie nadciągała zmiana pogody. Już poprzedniego dnia o zachodzie formowały się na dużej wysokości postrzępione chmury. Zaś rankiem słońce zdobił świetlisty obłok. Teraz, gdy w górnej strefie obmyła bielika zimna masa powietrza, zyskał pewność. Doświadczenie przepowiadało rychłą burzę. Zniżył lot, kierując się ku czaplińcowi. Spora kolonia czapli zasiedlała południowo wschodni brzeg jeziora, kusząc zwłaszcza obecnością młodych. Nieostrożnych i łatwych do pozyskania. Zwykle wystarczała krótka zasiadka w pobliżu, by upolować jakiegoś młodzika. Lecz ostatecznie zboczył z kursu. Powód zmiany zainteresowania, czyli szczupak, tkwił na skraju oczeretów, pod rozłożystym liściem grążela. I blisko powierzchni. Takiej sytuacji przepuścić nie zamierzał. Tym bardziej, że ofiara jedynie w połowie ukryta, nie dostrzegła zagrożenia. Pochwycił ją bez trudu. Drugi tego dnia mały szczupak rozniecił w gnieździe kolejną bójkę. Po mniej udanych łowach nadleciała też samica. Birkut, pozostawiwszy trójkę, wrócił na południe. Nadal nęciły go młodociane czaple. Zdążył przysiąść kilkadziesiąt metrów od czaplińca, gdy raptem pociemniało. Szybko wędrujące z zachodu chmury zgęstniały. Chwile całkowitej ciszy zakłócił szelest spadających kropel. Bębniły coraz głośniej. Zerwał się wiatr. Porywy przeszły w nawałnicę. Zimną i gwałtownie targającą okolicznymi drzewami. Przywarty do gałęzi bielik z trudem utrzymywał równowagę. Wydawało się, że mocniej już dać nie może. A jednak nawałnica tężała. Choć po przelotnym deszczu nie pozostało ani śladu. Później uderzył piorun. Jedyny. Kształtem przypominający ogromny korzeń, którego najgrubszy pęd połączył nisko zwieszane chmury z północną stroną jeziora. Ogłuszający grzmot wstrząsnął birkutem. Prawie jednocześnie poczuł w piersi silny skurcz. Nie z powodu błyskawicy. W swoim życiu doświadczył wielu burz i przekonał się, że częstokroć podobne nawałnice bywają korzystne. Po ich odejściu rosła dostępność pokarmu, wszak padały rozmaite drobne zwierzęta. Przyczyna obecnego lęku leżała gdzie indziej. Instynktownie obejrzał się w głąb jeziora. W pobliżu wyspy nienaturalnie jaśniało. Z tej odległości w nadal trwającym półmroku widział gorzej. Letnia burza odeszła równie prędko, jak nadciągnęła. Ciężkie chmury poczęły się rozpraszać i znikać na wschodzie. Na to tylko czekał przepelniony niepokojem bielik. A gdy porywy wiatru zelżały, natychmiast wzbił się w powietrze. Jeszcze w połowie drogi nie mógł pojąć znaczenia tego, co wciąż wyraźniej dostrzegały oczy. Wysoko nad wyspą unosił się rozwichrzony kłęb dymu. Niżej, od drzew, w tym i od dębu, strzelały jęzory ognia. Niewiele brakowało, by osmalił pióra, niebacznie wlatując w gorącą strefę. Jego pierś opuścił pierwszy rozpaczliwy krzyk.

Ciąg dalszy w następnym numerze.

Lech M. Jakób